

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Marian Dziedzic – *Tułaczka*

*Mam co wspominać,
ale nie mam za czym tęsknić.*

Wprowadzenie

Upłynęło już wiele lat od wypadków, które opisałem, lecz tych kilku lat spędzonych na Syberii, a potem w Kazachstanie, nic nie wymaże z pamięci. Czas nie zatrze wspomnień o poniewierce na kilkusetkilometrowej trasie, przebytej w zimie 1944 r. przez ośmioletniego chłopca. W śniegach Syberii została moja siostra Marcelina i babka Dorota, a w Kazachstanie Mama. Czy można zapomnieć strach, jaki mi towarzyszył przy przekraczaniu granicy w przebraniu dziewczynki i obawę, że odkryją, że nie jestem dziewczynką. Czy to wszystko można zapomnieć?

Większość przedstawionych tu zdarzeń, których byłem uczestnikiem, jestem w stanie umiejscowić w czasie i roku w jakim miały miejsce. Odeszli prawie wszyscy świadkowie, którzy mogliby uściślić moją relację. U tych co pozostali, czas również wymazał część faktów i dat z pamięci. Przedstawiłem tu zdarzenia zapamiętane jak i opowiedziane mi przez Marię Fugiel, Irenę Smolak i Katarzynę Zajączkowską-Sawicką. Były one uczestniczkami opisanych tu historii. Maria Fugiel, moja chrzestna, była, obok moich Rodziców, świadkiem pierwszych dziesięciu lat mojego życia. Po śmierci Matki, gdy zostałem sam, nie zgodziła się, by zabrano mnie do ruskiego domu dziecka, który mieścił się w Pietropawłowsku. To Ona przywiozła mnie do Polski, w przebraniu dziewczynki, swojej córki Rity Fugiel.

Z Ireną Smolak i jej dziećmi Jadwigą i Jerzym oraz Mamą przebyłem piechotą około 450 km od Tuligan, położonych w: Omskaja Oblast', Ust-Iszymskij Rajon, Panowskij Sielsowiet, Lesouc zastok Skorodum, kołchoz Tuligany, posesiołek Tuligany do Karatału, Sielsowiet Biszkul, Kazachsko-Pietropawłowska Oblast'. Z Katarzyną Zajączkowską-Sawicką rozmawiałem kilkakrotnie

na przestrzeni kilku lat. Jest ona koleżanką szkolną Ireny Smolak i w Tuligach była kierowniczką stołówki.

Pozostaną nieznane niektóre fakty z życia moich Rodziców. Odeszli wiele lat temu, gdy byłem małym chłopcem; Mama w 1945 roku, Ojciec w 1949 roku. Warunki, w jakich przyszło im spędzać ostatnie lata życia nie sprzyjały, by opowiedzieć mi o sobie i rodzinie. Już nigdy nie dowiem się kiedy wyjechali do Francji, gdzie przebywali i pracowali. Kiedy się poznali i gdzie zawarli związek małżeński. Dokumenty, które mogłyby pomóc w wyjaśnieniu niektórych spraw, zaginęły na Syberii lub pozostały w rodzinnym domu.

W czerwcu 1946 roku po przeszło sześcioletnim pobycie na zesłaniu wróciłem z Marią i Kazimierzem Fuglami do kraju. Przez kilka miesięcy przebywałem z nimi we wsi Rzędziny, położonej na północny-zachód od Szczecina. We wrześniu Ojciec zabrał mnie do Bytomia, gdzie mieszkał i pracował i umieścił w domu dziecka. Od tej chwili aż do matury przebywałem w różnych domach wychowawczych:

IX. 1946 – VIII 1953 Dom Dziecka pod wezwaniem Świętego Ducha w Bytomiu, który finansowany był przez organizację Caritas, a prowadziły go siostry z Kongregacji Sióstr Miłosierdzia Świętego Karola Boromeusza, zwane potocznie boromeuszkami;

IX 1953 – VIII 1954 Państwowy Dom Młodzieżowy w Bielsku-Białej;

IX 1954 – X 1954 Państwowy Dom Młodzieżowy w Bytomiu;

XI 1954 – VI 1956 Państwowy Dom Młodzieżowy w Katowicach (Stalinogrodzie).

Tu w kraju było już inaczej. Znikła niepewność jutra. Życie wracało do jakiejś normy, o ile normą można nazwać prawie 10 lat spędzonych w różnych ośrodkach opiekuńczych. To, co opisałem, to nie są typowe wspomnienia. Obejmują wprawdzie czas miniony, ale zawierają też miejscami współczesną refleksję. Do przedstawienia wydarzeń z mojego życia przymierzałem się od dawna. Robiłem notatki. Zostały one uporządkowane i powstał szkic, który po przemyśleniach nabrał niniejszego kształtu.

Rodzina i dom

Ojciec mój, Jan, urodzony w 1902 r. w Dobieszynie koło Krosna mówił mi, że jako ochotnik brał udział w wojnie 1920 r. W latach trzydziestych ubiegłego wieku przebywał we Francji, gdzie pracował jako robotnik w fabryce. We Francji poznał, przebywając tam również w celach zarobkowych, Katarzynę Góral, urodzoną w 1902 r. w Rabczycach, gmina Medynice, powiat Drohobycz. Związek małżeński zawarli rodzice we Francji, o czym świadczą zdjęcia ślubne. Przesłanki wskazują, że w 1933 r. rodzice wrócili do Polski, w rodzinne strony Mamy, do Rabczyc. Obok domu siostry Mamy, Rozalii Hrynkiw wybudowali mały domek składający się z dwóch izb i kuchni. W domu tym urodziła się moja siostra Marcelina (1934) i ja (1936). Jak mówiła mi Maria Fugiel, rodzice moi zanim się pobudowali i przenieśli do Kolonii Opary uprawiali w Rabczycach kawałek ziemi, ile tego było nie wiem, odziedziczony przez Mamę po swoich rodzicach. W 1936 r. za pieniądze zarobione we Francji, kupili 4 ha ziemi i wybudowali w 1937 r. dom wraz z zabudowaniami gospodarskimi. Ziemię z parcelacji majątku hr. Skarbka kupili również Maria i Kazimierz Fugiel i po-

budowali się obok zabudowań rodziców. Ich wnuki Kazimierz i Andrzej Fuglowie, synowie Tadeusza Fugla, posiadają kwity kupna ziemi z parcelowanego majątku. W pracach budowlanych rodzicom pomagał brat Ojca, Władysław (1905-1984), który mieszkał we wsi Wolica koło Jasła. Mówił mi, kiedy rozmawiałem z nim w lecie 1968 r. „w waszym domu w Rabczycach stawiałem piece”. Według jego relacji oraz kuzynki Anny, córki Rozalii Hrynkiw, mieszkającej w Chicago, zabudowania były okazałe. Dom, stodoła, obora z cegły, kryte dachówką. Wszystko to położone w ładnym miejscu. Nowo powstała osada, składająca się z kilku zabudowań gospodarskich zwana była przez miejscowych Kolonią Opary, a faktycznie była częścią wsi Opary. Po wywózce osadników na Syberię w domach zamieszkali Rosjanie, którzy po paru miesiącach musieli je opuścić, bo zabudowania rozebrano. Ciotka Rozalia pisała o tym Rodzicom. Listy przychodziły w początkowych miesiącach naszego pobytu w Tuliganach. Potem pod koniec 1941 r. korespondencja się urwała.

O historii domu rodzinnego mówiła mi Mama, w Polsce Ojciec i M. Fugiel. Domu rodzinnego nie pamiętam. Z opowiadań wiem, że rodzice zajęci pracą w gospodarstwie, pozostawiali Marcelinę i mnie pod opieką babki Doroty, matki Ojca. Babka, oprócz opieki nad nami, zajmowała się również sprawami gospodarstwa domowego. Gdy podrośliśmy, byliśmy zabierani w pole. Z Marceliną nie było kłopotu, była starsza, chodziła sama. Ja domagałem się, aby mnie noszono. Na stwierdzenie, że jestem już duży i ciężko mnie nieść, miałem mówić: „z górki na dół jette, jette (biegnę, biegnę), pod górkę nie mogę”. Jest to powiedzenie, które według Marii Fugiel zwykłem mówić, gdy nadarzała się okazja. W Rabczycach, a potem w Oparach, spędziłem pierwsze cztery lata życia.

Moi Rodzice byli prostymi ludźmi, którzy jak większość ludzi, urodzonych w tym czasie na wsi, zdobyli podstawowe wykształcenie. Pracą fizyczną zarabiali na utrzymanie. W ich życiu okresem, w którym mogli być szczęśliwi, bo osiągnęli stabilizację, był czas od zawarcia małżeństwa do deportacji na Syberię. Byli na swoim, co trwało zaledwie kilka lat. Mama, brak mi słów by wyrazić kim była ona dla mnie. Jako dorosła osoba pojechała „za chlebem” do Francji. Była osobą głęboko wierzącą. Wśród niezbędnych rzeczy, jakie spakowała, ponaglana przez enkawudzistów, i zabrała na Syberię była figurka Matki Boskiej. Lubiła swój kraj, co pokazała dając mi lekcję patriotyzmu w 1945 r. Moje kontakty z Ojcem nigdy nie były tak bliskie jak z Mamą. Na zesłaniu przeważnie był w tajdze na wyrębie. Widzenia z rodziną były rzadkie. Potem wojsko i łagier. Spotkaliśmy się w 1946 r., po trzech latach rozłąki, gdy miałem 10 lat. Przywiózł mnie z Rzędzin, województwo zachodniopomorskie, gdzie mieszkalem z Marią i Kazimierzem Fuglami po powrocie z zesłania i umieścił w Domu Dziecka w Bytomiu. Odwiedzał mnie. Był Ojcem troskliwym!

W czerwcu 2007 r. podczas wycieczki na Ukrainę odwiedziłem rodzinne strony. Taksówką ze Lwowa, udałem się do Rabczyc. Towarzyszyli mi szwagierka– Ania i jej mąż Bogdan, którzy wspierali mnie i angażowali się w poszukiwanie śladów przeszłości mojej rodziny w Rabczycach i Oparach. W Rabczycach zatrzymaliśmy się na drodze biegnącej przez wieś, przy której, po obu stronach stały podobne domy, kryte eternitem. Rozpocząłem próbę porozumienia się z mieszkańcami. Ja mówiłem do nich po rosyjsku, oni po ukraińsku. Jakoś się dogadywaliśmy. W rozmowie pomagał nam kierowca taksówki, z któ-

rym można było porozumieć się po polsku. Zebrało się kilka kobiet i mężczyzn, starali się udzielić mi informacji, wypytywali czy ktoś coś nie wie o Ruzi Hrynkiw, gdzie mieszkała i kiedy zmarła. Kłopot w tym, że nazwisko Hrynkiw i imię Ruzi (Róża, Rozalia) było we wsi popularne. Zaprowadzono nas do przeszło osiemdziesięcioletniej kobiety, która mówiła po polsku. Powiedziałem jej, że chodzi o Ruzi Hrynkiw, której córka jest w Ameryce. Ta informacja była „strzałem w dziesiątkę”. Pani powiedziała nam, gdzie był dom ciotki i że został rozebrany. Stoi tam teraz nowy budynek i mieszkają w nim ludzie nie związani z rodziną Hrynkiw. Zaprowadzono nas tam. Z mieszkańcami rozmawialiśmy przy furtce. Nie wiedzieli co stało się z byłymi właścicielami gruntu. Wyjechali, ale nie wiadomo gdzie. Na sugestię, że może pop coś wie, powiedzieli, że on młody i jest od niedawna. Na odchodnym zapytałem czy na zapleczu stoi bądź stał dom. Okazało się, że stoi tam rozpadająca się chałupa. Wpuszczono nas na podwórze i pozwolono zrobić zdjęcia. Ania jako osoba przywiązująca wagę do pamiątek zabrała do woreczka garść ziemi. Po przeciwnej stronie drogi stał jeszcze dom rodziny Fugłów. W domu, jak stwierdzili rozmówcy, „mieszka młode pokolenie, które nic ciekawego nie powie.”

Pożegnaliśmy się z mieszkańcami Rabczyc, dziękując za pomoc w poszukiwaniach. Poinformowani, kto może nam udzielić wskazówek o lokalizacji Koloni Opary, udaliśmy się do wsi Opary. Pan Makowski, pamiętający przedwojenne czasy, dobrze mówiący po polsku, pokazał nam drogę, przy której stały zabudowania kolonistów, a wśród nich i moich rodziców. Po zabudowaniach nie ma śladu. Zostały rozebrane, bo przeszkadzały powstałemu kołchozowi w wielkoobszarowej gospodarce. Zabudowania kolonistów stały przy drodze biegnącej ze wsi Opary do wsi Dołhe (obecnie Dołhoje). Tuż przed wsią Dołhe koloniści wybudowali mały kościółek. Obecnie, bez wieżyczki, jest to magazyn sprzętu rolniczego. Nie mogliśmy zaglądnąć do środka, bo wejście było zamknięte. Obok zabudowania stały stare maszyny rolnicze. Grunty dawnych osadników, kiedyś uprawiano, dzisiaj są to ugory. Teren otaczający zabudowania jest falisty, przeciętany strumykami.

Ania, podobnie jak w Rabczycach, z pobocza drogi przy której stały domy, wzięła garść ziemi i wyrwała kilka chwastów. Trofea Ani przywieźliśmy do Polski i są w moim posiadaniu. Z oddalenia, już we Wrocławiu, uświadomiłem sobie, że odwiedzając Rabczyce i Opary na krótko wróciłem do miejsca, gdzie się wszystko zaczęło. Nie doznałem tam nic zaskakującego. Na widok starego, będącego dzisiaj w ruinie domu, który wybudował Ojciec, gdzie przyszedłem na świat, nie odczułem wzruszenia ani nie zabiło mi mocniej serce. Pomyslałem wtedy: to tak wygląda teraz dom, w którym zaczęło się moje życie. W pierwszej chwili chciałem poprosić o pozwolenie, by tam wejść, ale szybko z tego zrezygnowałem. Nie chciałem oglądać rudery od środka, Wystarczył widok z zewnątrz. Tam w środku nic nie ma, a ja i tak nic nie pamiętam, bo nie mogę pamiętać. Gdy opuszczałem ten dom miałem chyba rok.

Wiele upłynęło lat i dużo się zmieniło bym mógł jako jedyny z pięciosobowej rodziny, wywieziony w 1940 r. na Syberię, odwiedzić miejsca, gdzie spędziłem pierwsze cztery lata życia, których nie pamiętam, bo byłem za mały, by coś zapamiętać.

Zsyłka i pobyt w Tuliganach

W 1940 r, 10 lutego, moi rodzice, babka Dorota, siostra Marcelina i ja zostaliśmy wywiezieni na Syberię. Moje starania o potwierdzenie tego faktu trwały kilka lat. Początkowo uzyskiwałem odpowiedzi stwierdzające, że w archiwach brak wiadomości na temat rodziny Dziedzic. Na kolejne pisma i w wyniku starań rosyjskiego stowarzyszenia „Memoriał” otrzymałem następujące informacje:

Pismo Zarządu Spraw Wewnętrznych Obwodu Lwowskiego z 15.09.1992 r. stwierdza czas zsyłki oraz uwidacznia skonfiskowane mienie. Informuje ponadto, że pociąg z zesłańcami oznaczony Nr 4005 jako stację docelową miał miasto Tiumeń. Jest ono położone w Syberii Zachodniej, nad rzeką Turą. Przypuszczam, że Tiumeń był pierwszym etapem, gdzie część zesłańców wysiadła, a pozostali pojechali dalej. Wsiadali na kolejnych stacjach i wieziono ich na z góry przygotowane miejsca dożywotniego osiedlenia. Pismo z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Federacji Rosyjskiej z 19.12.1994 r. zawiadamia, że w dokumentach archiwum państwowego obwodu omskiego znajdują się informacje, że Dziedzic Dorota, Jan i Katarzyna byli skierowani na specjalne osiedlenie do obwodu omskiego. Zostali z niego zwolnieni w 1941 r. Innych informacji, a także danych o Dziedzic M. w archiwach nie odkryto. Śmiem twierdzić, z dużą dozą prawdopodobieństwa, że miejscowe władze rejestrowały tylko osoby zdolne do pracy, a dzieci do takich nie należały.

Okoliczności w jakich decydowano o deportacji były typowe dla aparatu ucisku, jakim było NKWD w Rosji sowieckiej. Przychodzili w nocy, aby zaskoczyć i wywołać strach. Do nas też przyszedł o tej porze. Kazali się szybko spakować. Ojciec mówił mi, że po obudzeniu i ubraniu nas przez Mamę stałem z Marceliną, która trzymała mnie za rękę, obok drzwi do kuchni i oboje płakaliśmy. Rodzice uciszając nas pakowali dobytek, ponaglani przez enkawudzistów. Kuzynka Anna w następujący sposób opisuje (list z 27. 11. 1990 roku) reakcję swojej mamy, a mojej ciotki, na wiadomość o naszej deportacji na Syberię: „pamiętam jak dzisiaj, że nad ranem dali nam ludzie znać, że was zabrano, to moja mama zemdląca, i poszliśmy do was, to nas na podwórze nie wpuścili, ale was już nie było. W waszym domu osiedlili rosjanów”.

Całą rodzinę, pozostałych osadników też, zawieźli na stację kolejową do Borysławia i załadowali do wagonów. Były to wagony towarowe, z piętrowymi pryczami. Na środku stał piecyk żelazny, w kącie była dziura do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Według relacji pani K. Zajączkowskiej-Sawickiej, raz dziennie dostarczano posiłek. Była to zupa przynoszona w wiadrach. Przez całą podróż nikt się nie mył. Woda była tylko do picia. Transport jechał w nieznane.

Po około dwóch tygodniach dotarliśmy za Ural, do stacji kolejowej Iszym. Tu wysiedliśmy. Czekaliśmy na daleką podróż. Pierwszy etap przebyliśmy samochodami. Kolejne dni to podróż końmi. Zatrzymywaliśmy się na odpoczynek i nocleg w kołchozach, gdzie zapewniano wyżywienie. Po około 2 tygodniach i przebyciu około 300 km dotarliśmy do wsi Tuligany. Tam nad rzeką Irtysz zostaliśmy zakwaterowani w barakach, które na nas czekały. Baraki zbudowane były z nieociosanych bali, uszczelnionych mchem. Ściany wyglądały tak samo z zewnątrz jak i z wewnątrz. Pomiędzy drewnianą podłogą a gruntem znajdowała się wolna przestrzeń. Do baraku wchodziło się po schodkach.

Z pierwszego okresu pobytu na Syberii, z transportu niewiele pamiętam.

Pozostały mi w pamięci obrazy zarejestrowane jak zdjęcia, które tkwią do dzisiaj we mnie. Biel krajobrazu, mijane wsie wśród zasp śniegu, jakieś dzieci ciągnące sanki, duża tafla lodu na zamrzniętym jeziorze, po którym jechaliśmy, jazda saniami. Czy są to moje własne spostrzeżenia, być może tak, ale pewności nie mam, czy obrazki te zostały zarejestrowane w wyniku późniejszych opowiadań rodziców bądź znajomych.

Osiedlono nas w Omskaja Oblast' Ust-Iszymskij Rajon, Panowskij Sielsowiet, Lesouczaatok Skorodum, kolchoz Tuligany, posiołek Tuligany. Tuligany położone były około 40 km na północny-zachód od Ust-Iszyna, nad rzeką Irtysz. Jest to miejsce, gdzie dopływ Irtysza Bicz (Bicza) zbliża się do niego na około 150-200 m, by po kilkuset metrach wpaść do niego. W obozie były dwa baraki mieszkalne oraz baraki zaplecza. Jeden z baraków był większy. W nim oprócz części mieszkalnej znajdowała się kuchnia i stołówka. W tym baraku mieszkaliśmy oraz Fuglowie, Smolakowie i inni.

Baraki były jednakowo wyposażone. Środkiem bieгло przejście, po obu stronach którego pod ścianą ustawione były prycze. Na jednym, stosunkowo wąskim posłaniu spała cała rodzina, z dziećmi w nogach. W rogu był piec. Niedługo po przyjeździe ludzie zaczęli chorować. Pluskwy były plagą baraków, wszy, które oblażyły każdego, ciasnota w barakach, do których wtłoczono po około 80 osób, brak warunków higienicznych i bytowych były powodem zachorowań i zgonów. Umierali najślabi, dzieci.

Wszy przez cały czas pobytu w barakach stanowiły problem, który trudno było zwalczyć. W zimie przy trzaskającym mrozie osobiste rzeczy wystawiano na noc na pole. Rano przeglądano ubranie. Metoda ta nie była skuteczna. Do walki służyło pomieszczenie zwane *wszoubojnia* – odwszalnia, gdzie bieliznę poddawano działaniu temperatury. Najlepszym sposobem zwalczania tych sublokatorów było prasowanie bielizny żelazkiem rozgrzanym na piecyku. Stosowanie powyższej metody poradzili miejscowi mówiąc: *tolko utjug, niczewo luczszewo net* (tylko żelazko, niczego lepszego nie ma).

Zesłańcy pracowali przy wyrębie tajgi i obróbce ściętego drzewa. Mężczyźni prawie cały czas przebywali poza obozem, zjawiając się w nim raz na miesiąc, celem odwiedzenia rodzin. Daleko w tajdze, o dzień marszu (około 35 km) mieszkali w barakach w osiedlu Anguf, położonym w górnym biegu rzeki Bicz. Ścinali ręcznie drzewa, ściągali końmi ociosane z gałęzi bale na brzeg rzeki. Z nastaniem wiosny, kiedy Bicz odinali, użewo spławiano.

Ojca widywałem rzadko. Pamiętam, że w tym czasie, podobnie jak inni mężczyźni, nosił brodę. Chroniła ona twarz w zimie przed mrozem, a w lecie przed rojem drobnych muszek, które wciskały się wszędzie i gryzły. Ojciec przychodził z wyrębu zawsze zmęczony całodziennym marszem z Anguf. Wspólnie z Mamą relacjonowali sobie jak „przepracowali” czas od ostatniego widzenia. Mówił o ciężkiej pracy przy ścinie drzew i o tym, że trzeba bardzo uważać by komus nie stała się krzywda. Ze szczególną pieczą obchodzono się z końmi. Uraz konia mógł być uznany za sabotaż. A to było poważne oskarżenie. Ojciec opowiadając palił papierosy. Tytoń miał w specjalnym mieszku, w którym przechowywał krzesiwo i hubkę, przy pomocy których zapalał skręcone papierosy.

Bele drzewa, spuszczone w Anguf do Bicza, były wylawiane przez kobiety w Tuliganach. Rzeka tworzyła tam zakole, które uniemożliwiało dalszy spływ. Drzewo wyciągano na brzeg przy pomocy koni. Aby wyciągnąć drzewo na brzeg, trzeba było wejść do wody i założyć na nie łańcuch. Robiły to kobiety. Końmi kierowali miejscowi brygadziści. Drzewo było składowane na placu między Irtyszem a Biczem. Pokrywało cały plac. Musiało go starczyć na całą zimę, kiedy spław ustał, bo Bicz był skuty lodem. Drewno było korowane, cięte na wymiarową długość i składowane w sągi. Na placu stały kozły, na które układano bele drzewa i przecinano ręczną piłą. Na placu tym bywałem często i przyglądałem się pracy Mamy i innych kobiet. Za zakolem był drewniany most, po którym przechodzono na drugi brzeg Bicza, na plac obróbki drzewa i na przystań nad brzegiem Irtysza, przy której cumowały barki. Bardziej odważni, ja do nich nie należałem, decydowali się przechodzić na drugi brzeg, biegnąc po kłodach drzewa, leżących w wodzie. Z nastaniem wiosny, po spłynięciu lodów, Irtyszem przyływały barki. Cumowały przy brzegu, tuż przy placu obróbki drzewa. Z brzegu na pokład barki spuszczano dwie żerdzie. Po tak zbudowanej pochylni, przy pomocy lin, kobiety spuszczały bale drzewa na pokład. Załadowane barki odpływały.

Praca trwała 8 godzin dziennie z przerwą na obiad, która według K. Zajączkowskiej-Sawickiej przypadała między godziną 12-tą i 13-tą. Przerwa nie była wliczana w czas pracy. Niedziela była dniem wolnym, ale kuchnia była czynna. Za ciężką pracę, bo do pracy ich tu przywieziono, zesłańcy otrzymywali nędzne wynagrodzenie. Żywili się w stołówce wraz z rodzinami, płacąc za obiad. Naczynia każdy miał własne, zabrane z domu. W wyjątkowych wypadkach, jak mówiła K. Zajączkowska-Sawicka, można było otrzymać menażki służbowe. Śniadania i kolacje przygotowywali sami. Otrzymywali w tym celu przydział 20 dag chleba dla pracującego i po 10 dag na dziecko i niepracujących. Za te racje trzeba było płacić. Zesłańcy uzupełniali głodowe przydziały wymieniając na żywność przywiezioną bieliznę w okolicznych wsiach. W sklepiku, który był na terenie obozu można było kupić niezbędne rzeczy takie jak: kalosze, walonki, kufajki. Żywności nie sprzedawano. Według relacji K. Zajączkowskiej-Sawickiej, która była kierowniczką stołówki, wydawano codziennie około 300 obiadów. Stołówka była czynna do 1943 r. W początkowym okresie osadnicy prowadzili hodowlę krów i świń na własne potrzeby. Po 1941 r. działalność ta ustała. Obóz był zaopatrywany w żywność przez okoliczne kolchozy. W połowie 1944 r. zesłańców, w tym K. Zajączkowską-Sawicką, od której pochodzą te wiadomości, przewieziono na Ukrainę.

Wiosną 1941 r., miałem wtedy 5 lat i słabo pamiętam to wydarzenie, wylał Irtysz. Według relacji I. Smolak i K. Zajączkowskiej-Sawickiej woda stopniowo zaczęła zalewać plac pracy, przedarła się do Bicza i doszła do baraków. Mieszkańców ewakuowano do Bicz i rozlokowano w domach kolchoźników. Z tego okresu pamiętam jedynie to, że baraki były otoczone wodą i płynęliśmy gdzieś łodziami. Po opadnięciu wód przywieziono ludzi do porządkowania obozu.

Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej (22. 06. 1941) sytuacja zesłańców uległa zmianie. Złagodzone dyscyplinę. Zezwolono na opuszczanie obozu i osiedlanie się w okolicznych wsiach. Na początku 1942 r. zachorowała Marcelina. Miała wysoka temperaturę i trudności z oddychaniem. Wiele lat później mó-

wiono mi, że był to dyfteryt. Ojciec w czasie jej choroby był na wyrębie. Zdesperowana Mama wyblagała sanie i udała się do Skorodumu po pomoc, bo tam był felczer. Po paru dniach wróciła sama. O Marcelinie nic nie mówiła. Wiadomo było, że zmarła. Po jakimś czasie, jak mi po latach powiedziała Fugłowa, Mama opowiedziała co się stało. Marcelina zmarła na jej rękach w czasie jazdy saniami. Jej ciało zagrzebała Mama w śniegu na cmentarzu w Skorodumie licząc, że wiosną ktoś ją pochowa. Takie postępowanie było zimą powszechne. Kto miał siłę kopać grób w zamrzniętej na kamień ziemi?

Twarz Marceliny zatarła się w mojej pamięci. To co pozostało we wspomnieniach sześciolatniego chłopca, to to, że była wesołą, okrągłą na buzi brunetką. A może te wspomnienia to opowieść M. Fugiel. Myślę, że była podobna do Mamy. Żadne jej zdjęcie się nie zachowało, być może wcale go nie było. Gdzieś po śmierci Marceliny, a przed moją chorobą, przyjechał samochód ciężarowy. W południe kierowca rozpałił ognisko i podgrzewał na nim coś w beczce. W pewnym momencie rozległ się huk i dna beczki poleciały w przeciwne strony. Jedna z nich uderzyło chłopca w twarz. Upadł, ale po chwili wstał. Miał zakrwawione usta. Stracił przednie zęby. Dziś przypuszczam, że kierowca podgrzewał wodę w beczce po benzynie.

Niedługo po śmierci Marceliny zachorowałem i ja. Miałem temperaturę, bóle brzucha, biegunkę i bardzo schudłem. Choroba trwała dość długo. Mówiono potem, że miałem dur brzuszny. Pamiętam, że w tym czasie dawano mi do picia naftę. Snułem się po baraku. Odganiano mnie od drzwi, do których podchodziłem, by je uchylić i zaczerpnąć świeżego powietrza, celem złagodzenia nieprzyjemnego smaku w ustach po wypiciu nafty. Stawiano mi bańki. Według relacji K. Zajączkowskiej-Sawickiej tylko Mama zabrała ze sobą bańki. W razie potrzeby była wzywana i stawiała je chorym. Po latach opowiadała mi M. Fugiel, że w czasie mojej choroby Mama mówiła jej „śmierci drugiego dziecka nie przeżyję”.

Po śmierci szeregu dzieci powstał wśród tych, co pozostały makabryczny, tak go teraz oceniam, test kto będzie następny. Sprawdzianem była ślina. Jeśli wypuszczona z ust ciągnęła się uznawano to za znak niechybnej śmierci. Test ten był wykorzystywany w stosunku do rodziców, gdy nas karcili. Pamiętam, że gdy Mama zwracała mi uwagę to mówiłem, że ślina mi się ciągnie i że umrę. Krzyczała wtedy na mnie, żebym tego nigdy nie mówił. Było to po śmierci babki Doroty, gdy przy jakiejś okazji powiedziałem Mamie o ciągnącej się ślinie, bardzo się zdenerwowała. Powiedziała, że wobec tego, że jestem niegrzeczny, to ona idzie się powiesić i zostanie sam. Wyszła z domu. Z płaczem wybiegłem za nią obiecując, że więcej tego nie powiem. Słowa dotrzymałem.

W połowie 1942 r. z Tuligan, M i K. Fugłowie z synem Tadeuszem wyjechali do Kazachstanu. Mama korespondowała z nimi. Po wyjeździe Fugłów na wiosnę 1943 r. opuściliśmy baraki i osiedliliśmy się w kołchozie Tuligany. Niedaleko Tuligan położone były wsie takie jak: Bicz, Tajłaki, Nagorno, Bakszewo, a po przeciwnej stronie Irtysza Zagwaździno, do którego przeprawiano się łodźmi. Do największej wsi Bakszewo, położonej około 8 km od baraków, jak mówiła K. Zajączkowska-Sawicka, udawano się na handel wymienny.

W Tuliganach zamieszkaliśmy na uboczu wsi tuż obok lasu. Teren za domem w kierunku lasu porośnięty był łopianem. Duże jego liście tworzyły coś w

rodzaju dywanu. Domek zbudowany był z bali uszczelnionych mchem. Miał spadzisty dach na dwie strony i coś w rodzaju strychu, na który wchodziło się po drabinie. Składał się z jednej izby z małym okienkiem, w której stał piec, prycze do spania i stół. Zesłańcy opuszczając baraki musieli sami zadbać o swój byt. Budowali sobie prymitywne domy, bądź zamieszkiwali u kołchoźników. Na własne lokum porywały się rodziny, w których mężczyzna mógł pracować i w wolnym czasie budować. Niezbędna była sąsiedzka pomoc, bo samemu trudno było podolać. Zesłańcy zatrudnieni byli w kołchozach, bo swoi poszli na wojnę. Kołchoz udostępniał budującym się siekiery i piły. Ojciec od pewnego czasu nie pracował już w Anguf. Wszystko wskazuje na to, że dom, w którym zamieszka- liśmy wybudował Ojciec. Być może tak było, ale pewności nie mam. Jak się- gam pamięcią był to nowy dom. „Meble” były ze świeżego drewna. Obok domu było dużo kory, gałęzi i naciętego drzewa na opał. Jeśli moje przypuszczenia są trafne, byłby to trzeci wybudowany przez Ojca dom.

Gdzieś w środku 1943 r. Ojciec poszedł do wojska. Pewnego dnia tuż przed wymarszem przyniósł do domu wiewiórkę. Została ugotowana i zjedzona ze smakiem. Powiedział, że upolował ją przy pomocy patyka. Siedziała na drze- wie i tam ją dosięgnął rzucony przez niego kij. Wkrótce po wyjeździe Ojca za- chorowała babka Dorota. Pamiętam ją jako siwą, przygarbioną staruszkę, miała wtedy 63 lata, ubraną w długą do ziemi spódnicę. Kiedy Mama wychodziła do pracy, babka zostawała ze mną i krzątała się w izbie, stale coś mrucząc. Może się modliła. Często wychodziła, zostawiając mnie samego. Wracła późno. Mama po jej powrocie stale powtarzała: znowu zostawiłaś dom i poszłaś na plotki. Z przyzwyczajenia babki niezadowolony był również Ojciec, który upomi- nał ją by trzymała się domu. Napominania nie skutkowały. Robiła swoje. Cho- robę babki wspominam jako koszmar. Leżała na pryczy i stale jęczała. Pocho- wała ją Mama, Ojca już nie było, zawiniętą w jakieś płótno. Na grobie posta- wiono, jak pamiętam, krzyż z brzozy.

Zimą w obozie w Tuliganach dzieci spędzały w barakach. Śnieg i mróz ograniczały możliwość poruszania się. W lecie przez cały czas przebywały w pobliżu baraków. Tu w Tuliganach nauczyłem się pływać w Biczu. Tu czyniłem pierwsze próby, których potem już nie ponawiałem, łowienia ryb, z różnym skutkiem, na własnoręcznie zrobiony haczyk z drutu. Z Mamą robiliśmy wy- cieczki do lasu na grzyby i jagody. Grzyby były suszone, a niektóre gatunki so- lone i kiszzone.

Irtysz pozostał mi w pamięci jako bardzo szeroka rzeka. Wiosną z chło- pakami stawaliśmy nad jego brzegiem i patrzyliśmy na przepływające wielkie kry. Pojawiały się stada kaczek, które płoszyliśmy, rzucając patyki. Zwinnie nurkowały, by wynurzyć się poza zasięgiem naszego rzutu. W Irtyszu było mnóstwo ryb. Pamiętam jak pewnego razu, a było to w zimie, przyniósł Ojciec połowę szczupaka. Był ogromny, prawie tak duży jak ja. Położony na stole ru- szał ogonem. Wiosna, szczególnie ta ostatnia, kojarzy mi się z lebiodą, którą zbierałem, i z której Mama przygotowywała zupę oraz ze smakiem soku z brzo- zy. Wycinało się w drzewie zagłębienie i co jakiś czas, odwiedzało je, by wypić smakowity sok.

W wojsku Ojciec spotkał Tadeusza Fugła, który udał się tam ze swoim ojcem Kazimierzem. K. Fugiel, ze względu na stan zdrowia i wiek, został zwolniony z wojska. Według relacji Tadeusza Fugła, który był świadkiem tego zdarzenia, Ojciec po jednej z pogadank został aresztowany. W czasie dyskusji zapytał, czy Polska będzie taka jak przed wojną, czy komunistyczna i czy ziemie wschodnie będziemy odbijać szablami jak w 1920 roku. Według posiadanych dokumentów, Ojciec przebywał w łagrze w Stalinogorsku, obecnie Nowomoskowsk, położonym około 200 km na południe od Moskwy.

W Tuliganach przebywałem z Mamą do końca marca 1944 r. Chyba na początku marca zamieszkał z nami, obok już przebywających dwóch kur, nowy „członek rodziny”. Była to mała świnka, którą Mama przyniosła do domu. Skąd ją wzięła, za co kupiła czy wymieniła, nie wiem. Mama jak większość wiejskich kobiet była osobą bardzo zapobiegliwą. Tu w ekstremalnych warunkach cecha ta była bardzo przydatna. Świnka miała w kącie izby, obok kur, odgrodzone miejsce, w którym biegała i pochrząkiwała. Przyzwyczyła się do mnie i wypuszczana przybiegała na zawołanie.

Wędrówka

Pod koniec marca 1944 r. niespodziewanie zjawiła się u nas Irena Smolak¹ z córką Jadwigą i synem Jerzym. Mieszkali oni w sąsiedniej wsi, Zagwaździno, odległej od nas o około 7 km, na drugim w stosunku do Tuligan brzegu Irtyszu. Smolakowa namówiła Mamę, by udać się do Kazachstanu, do wsi Karatał, gdzie mieszkali M. i K. Fuglowie. Smolakowa przywiozła na małych sankach swój dobytek: mąkę, zboże i suszone ryby. Było tego niewiele. O wiele za mało jak na trzy osoby. Z takimi zapasami nie mogła marzyć, by wyruszyć w daleką drogę. Na co więc liczyła? Ale jak ktoś ucieka przed niechybnym losem, nie myśli, co będzie jutro. Zapasy Mamy pozwoliły optymistycznie ocenić realność przedsięwzięcia. Żywności musiało wystarczyć na cały czas drogi, bo liczyć można było tylko na siebie. Mama została wybrana na towarzyszkę ucieczki z rozmysłem. Utrzymywała kontakt listowy z Fugłami. Iść można było tam, gdzie miało się pewność, że będzie jakieś zaczepienie i pomoc od swoich. Smolakowa wiedziała, że Fuglowie, „to prawie wasza rodzina” mówiła, pomocy nie odmówią. Na południe wybrało się przed nami kilka rodzin, bo tam i nie takie srogie zimy i bliżej kolei, co miało znaczenie, gdyby przyszło wracać do kraju.

Przygotowania robiono nocą, by nikt nie zauważył. Smolakowie przez cały czas nie wychodzili z domu. Mama chodziła do pracy. W przeciągu kilku dni robiono, w tajemnicy, przygotowania do wymarszu. Pieczono chleb i placki, tarto ziemniaki i formowano w kulki, a następnie wystawiano na zewnątrz, by zamarzły. Zabito i upieczono dwie kury i prosiaka. W czasie zabijania prosiaka wyszedłem z izby i płakałem, jak po stracie kogoś bliskiego. W czasie wędrówki nie chciałem jeść mięsa prosięcia.

Dobytke dwóch rodzin załadowano na sanie długości około 2 m, które

¹ Irena Smolak przed zesłaniem mieszkała we wsi Majdan, powiat Drohobycz. Była żoną leśniczego. Rodzice moi z rodziną Smolaków poznali się na zesłaniu. Mieszkaliśmy w tym samym baraku.

skombinowała Mama. Wcześniej rano wyruszyliśmy w drogę. Wędrówka, jak ją oceniam obecnie była aktem desperackim. Inicjatorką przedsięwzięcia była Smolakowa. Musiała uciekać, obawiając się wykrycia niedoborów w magazynie, który prowadziła. Pracowała w Zagwaździnie, w Rybtreście, który zajmował się połowem ryb i ich przeróbką. Sama, bez uczestnictwa Mamy, musiałyby zrezygnować z wyprawy. Argumenty, którymi przekonała Mamę miała mocne: więzienie i dzieci, które pozostawione bez opieki nie miały szans na przetrwanie. Przypuszczam, że ani Mama, ani Smolakowa nie zdawały sobie sprawy z tego, na co się porywają.

Zastanawiałem się po latach, dlaczego Mama dała się przekonać i zgodziła się wyruszyć w drogę i nie wiem czy znalazłem zadowalającą odpowiedź. Nie była przecież aż taką altruistką by narażać siebie i mnie dla obcej osoby i wyruszyć z nią w nieznaną. Argumenty Smolakowej były wprawdzie ważne, ale to był jej problem, który sama spowodowała. Nawarzyła piwa i szukała współnika do wypicia. Mama zdecydowała się wyruszyć w drogę być może, aby zostawić za sobą przeszłość. Tu nic ją nie trzymało. Pochowała córkę i teściową, a mąż poszedł do wojska i brak było od niego wiadomości. Tam gdzie miała dotrzeć byli bliscy, z tej samej wsi, których znała i na których mogła liczyć.

Na wędrówkę w zimie wyruszyły dwie kobiety: Mama 42 lata, Smolakowa 31 lat i dzieci: Jerzy 7 lat, ja 8 lat i Jadwiga 12 lat. W czasie wędrówki na nogach miałem walonki (twarde buty z wołjoku), które dobrze chroniły przed zimnem stopy owinięte w szmaty. Nosilem spodnie, które Mama uszyła z rękawów swojej kurtki, już dobrze sfatygowanej, która nadawała się tylko na szmaty. Na głowie miałem czapkę-uszankę, zrobioną przez Ojca ze skórki zająca. Miałem też kurteczkę i rękawice.

Tuligany położone były około 40 km na północny-zachód od Ust-Iszyna nad rzeką Irtysz. Posługując się dostępnymi mapami starałem się po latach ustalić przybliżoną trasę wędrówki. Po przekroczeniu skutego lodem Irtysza (Smolakowie po raz drugi) szliśmy generalnie na wschód, w kierunku Ust-Iszyna, a następnie wzdłuż rzeki Iszym na południe. Przez miasto Iszym dotarliśmy do Pietropawłowska. Jest to trasa długości około 450 km. Odcinek trasy od Ust-Iszyna do Iszyna pokrywa się prawdopodobnie z drogą, jaką przebyliśmy w 1940 r. Jest to najbardziej prawdopodobny przebieg trasy, bo tędy w górę biegu rzeki Iszym, prowadzą wszystkie drogi na południe.

Dokładna droga przemarszu jest w tej chwili nie do odtworzenia. Nikt z dorosłych nie prowadził notatek, a czas jaki upłynął od tych wypadków, wymazał z pamięci nazwy osad i miejscowości. To, co pozostało w pamięci, wówczas ośmioletniego chłopca, to naprawdę niewiele, bo i niewiele się działo. Niekończąca się biel śniegu, zmęczenie całodziennym marszem, zwalające z nóg, podobne osady, a w nich podobne chatki. W każdej wsi wędrówka od domu do domu z prośbą o nocleg. Częste odmowy, bo wędrowcom wypada dać jeść, a oni sami przymierali głodem. Dwie kobiety ciągnące sanie, a potem wózek, przy pomocy sznura, przepasanego przez piersi. Troje dzieci podążające w ślad za ciągnionym dobytkiem i starające się ulżyć matkom, popychając sanie, a potem wózek. Siły topniały w miarę jak marsz się przedłużał. Jerzyk, jako naj-

młodszy i najmniejszy był często wieziony. Przed każdym wymarszem Mama i Smolakowa wypytywały ludzi, u których nocowaliśmy o wieś, jakie spotkamy na naszej drodze i o odległość do najbliższej i kolejnych osad. Wiadomości te pozwalały ocenić, jaki odcinek drogi możemy w tym dniu pokonać.

Pamiętam, było to w pierwszych dniach naszej wędrówki. Szliśmy cały dzień i nie było widać żadnej osady. Nastawał zmierzch, w oddali słychać było wycie wilków, a myśmy szli i szli. W końcu dotarliśmy do osady, gdzie przenocowaliśmy. Na drugi dzień, nie tylko ja, byłem tak zmęczony, że nie mogłem ustać na nogach. Starłem się chodzić, opierając się o ławę, która była podstawowym meblem w każdej izbie. Po tym dniu marszu odpoczywaliśmy cały dzień. W którejś wsi nocowaliśmy w domku na uboczu. Przyjęła nas samotna kobieta z małym dzieckiem. Na środku izby tliło się ognisko, z którego roznosił się dym po izbie. Dziecko siedziało na piecu i paluszkami wygrzebywało glinę, którą wsadzało do buzi. Było bardzo chude. Smolakowa dała mu kawałek placka. Dziecko, trzymając placek w jednej ręce, drugą ręką dalej wygrzebywało glinę i jadło. Zdawało się, że nie wie, co z plackiem zrobić. Przenocowaliśmy na klepisku koło ogniska, rozkładając uprzednio posłanie. Przez cały czas wędrówki spaliliśmy na podłodze, mając pod sobą, na sobie i przy sobie cały dobytek.

W jednej wsi stwierdziliśmy poruszenie wśród mieszkańców oraz obecność enkawudzystów. Byliśmy przestraszeni. Byliśmy uciekinierami. Mieliśmy cały czas świadomość, że mogą nas złapać i odesłać do obozu, a Smolakową do więzienia. W tym czasie zesłańcy mogli się już poruszać po kraju, ale dobrze było mieć zezwolenie, bo nie wszyscy urzędnicy byli zorientowani w obowiązujących przepisach. Nas to nie dotyczyło. Byliśmy wszyscy przestępcami. My też, bo pomagaliśmy przestępcy Smolakowej. Okazało się, że we wsi wykryto morderstwo. Stąd obecność NKWD i takie poruszenie. Mordercę obwożono po wsi dla przestrogi. W czasie wędrówki, w miarę możliwości unikaliśmy większych osiedli, by nie narazić się na spotkanie z władzą. Bywały dni, gdy zamieć nie pozwalała na wyruszenie w drogę. Zostawaliśmy wtedy na kwaterze i odpoczywaliśmy przed następnym etapem.

Gdzieś pod koniec kwietnia, śnieg jeszcze leżał, ale był grząski, sanie zapadały się, pojawiły się łachy ziemi. Robiło się coraz cieplej, zaczęły się roztopy, bardzo ciężko się szło. Matki stwierdziły, że dalsza wędrówka saniami jest niemożliwa. Sanki zostały zamienione na wózek. Transakcje ubito dodając do sanek zegarek ojca, który zostawił Matce na czarną godzinę, odchodząc do wojska. Mama rozstała się również z figurką Matki Boskiej, którą zabrała z domu na zesłanie. Figurka wielkości około 30 cm przedstawiała Matkę Boską w białej sukni, ze spuszczonej rękami i rozłożonymi dłońmi, skierowanymi do przodu. Okryta była niebieskim płaszczem.

Jednym z prowiantów w czasie wędrówki był samogon. Dostawaliśmy czasami miarkę samogonu wielkości naparstka, a może był to naparstek, na rozgrzewkę w czasie marszu. Rozkład dnia w czasie wędrówki był podobny. Rano i przed snem przecieraliśmy twarz i ręce mokrą szmatą. To było „mycie”. Ciepły posiłek spożywaliśmy jak była okazja. W połowie dnia, w czasie odpoczynku, w miejscu osłoniętym od wiatru, a czasami we wsi jedliśmy suchy prowiant. Był to chleb, suchary lub placki upieczone na blasze. Jako dodatek była ryba,

odrobina kury, bądź mojego prosiaczka. Jak się udało dostać *kipiatok* (wrzątek), to się popijało. Kolacje i śniadania były podobne, ale czasami też gotowane. Gotowano tarte ziemniaki, przygotowane przed wymarszem, bądź przyrządzano tzw. zawieruchę. Jest to rozbełtana z wodą mąka i ugotowana. Ta ciemna masa, zrobiona z żytniej mąki z odrobiną mleka, była, na owe czasy, wybornym jedzeniem. I tak przez miesiąc, częstowani czasami przez gościnnych mieszkańców, u których nocowaliśmy, szliśmy przed siebie.

Przed Pietropawłowskiem, pierwszy raz w czasie naszego marszu, spotkaliśmy ciężarowy samochód. Zabrał nas wraz z całym dobytkiem na pakę i podwiózł kilkanaście kilometrów. Po dotarciu do Pietropawłowska, przenocowaliśmy na jego przedmieściu. Przyjęła nas, litując się nad nami rosyjska rodzina. Poczęstowano nas kolacją, składającą się z okraszonych ziemniaków i chleba. Na drugi dzień wyruszyliśmy w drogę i dotarli na miejsce zamieszkania M. i K. Fugłów: „Uczastok Karatał, Sielsowiet Biszkul, Kazachsko-Pietropawłowska Oblast”. Po latach uczestniczka tej wędrówki Jadwiga, namalowała obraz olejny, przedstawiający naszą piątkę w drodze do wytkniętego celu.

Karatał

Był koniec kwietnia 1944 r. W ciągu miesiąca pokonaliśmy odległość około 450 km. Dotarliśmy do wsi Karatał. Była to nieduża wieś. Parę domów większych, drewnianych, należących, jak się potem okazało, do naczalstwa, a pozostałe to ziemianki. Wszystko to stało w miarę blisko siebie. Za zabudowaniami zlokalizowane były pomieszczenia dla inwentarza. Nasze pojawienie się zaskoczyło Fugłów. Byli zdumieni, że przeszliśmy szczęśliwie taki szmat drogi. Zmęczeni, brudni, przemoknięci i głodni dotarliśmy do celu. Po umyciu dostaliśmy coś do jedzenia. Fugiel rozścielił na podłodze (polepie) przyniesioną słomę, a my dzieci, padliśmy na to legowisko. Byliśmy szczęśliwi, że dotarliśmy do celu i było wiadomo, że następnego dnia nie czeka nas kolejny dzień marszu.

Zamieszkaliśmy z Mamą u Fugłów. Smolakowa, o ile dobrze pamiętam zamieszkała z Palczakową i Bocianową. Było ciasno, ale swoich trzeba było przygarnąć. W Karatale mieściło się Podsobnoje Chozjajstwo Fiz-Insitut, które było oddziałem wojskowego szpitala, zaopatrującego go w żywność. Karatał położony był około 17 km na południe od Pietropawłowska nad małą rzeczką, będącą dopływem Iszymu. Dom, a raczej ziemianka, w której mieszkaliśmy z Fugłami stał na końcu wsi, miał spadzisty dach na dwie strony i jedną izbę z małym przedsionkiem. Podłoga izby, którą była polepa położona była około 70 cm poniżej powierzchni terenu. Nieco ponad powierzchnią terenu było małe okienko, przy którym stał mały stolik zbitý z desek. Był to warsztat Fugła. Siedział przy nim całymi dniami i pracował. Był szewcem. Jedyńm fachowcem tej branży w okolicy. W swoim zawodzie, jak go wtedy oceniałem, był mistrzem. Przeważnie naprawiał buty i walonki. Potrafił też z powierzonego materiału zrobić piękne nowe buty. Praca ta była skomplikowana; tak ją wtedy oceniałem. Brał miarę, potem mozolnie strugał kopyto, przygotowywał dratwy, które impregnował, pocierając o kawałek smoły, strugał kołki z suszonego drzewa, w której to czynności miałem swój udział. Fugiel w stosunku do klientów był bardzo

miły, bawił ich rozmową i żartował. Były to dla niego chwile przerwy w mozolnej, całodziennej pracy. W izbie ciągle było słychać stukanie młotka lub ciche szuranie przewlekanej dratwy. W stosunku do kobiet odnosił się ze szczególną dbałością, prawiąc im komplementy podczas brania miary. Po wyjściu klientki, Fugłowa upominała go mówiąc: stary jesteś, a takie głupstwa pleciesz.

Za swoją pracę Fugiel brał przeważnie wynagrodzenie w naturze. Pieniądze były mu potrzebne na kupno niezbędnych akcesoriów do wykonywania pracy, po które jeździł do Pietropawłowska. Fugłowie dzielili się z nami żywnością, ograniczając własne potrzeby. W izbie, w której mieszkaliśmy stał piec, wielki, murowany pobielony na biało, w którym się piekło i gotowało. W piecu palono *kiziakiem*. Są to wysuszone, wymieszane ze słomą odchody krów. Za opał służyły również wyschnięte placki krowie zbierane na pastwisku. Były one składowane w pryzmy za ziemianką. Na piecu było legowisko, na którym spałem z Mamą. Przyjemnie było spać na piecu, bo był ciepły. Miał jeden mankament, był twardy. Między piecem a stropem ziemianki była niewielka przestrzeń. Trzeba było uważać, by nie nabić sobie guza przy wstawaniu. Spałem od ściany, bo była obawa, że mogę w nocy spaść z pieca. W kącie izby stało łóżko, a właściwie prycza, a pod nim wykopana była piwniczka na zapasy, głównie ziemniaki. Izba oświetlana była lampą naftową. Nafta była trudno dostępna i trzeba było ją oszczędzać. Stałym problemem był klosz do lampy, który pękał. Wykonywano go z butelek. Powyżej dna butelki zawiązywano sznurek nasączony naftą i podpalano go. Po chwili butelkę z palącym się sznurkiem zanurzano w wodzie, co powodowało odpadanie dna. Ten sposób pozyskiwania klosza nie zawsze się udawał, a sam klosz nie był zbyt trwały. Mama i Fugłowa pracowały w oborze przy cielętach. Była to praca intratna, bo był dostęp do mleka, którym pojono cielęta. Można było pić mleko do woli oraz, ryzykując, przynieść mleko do domu w butelce schowanej pod spódnicą. Przynoszono wszystko, co nadawało się do jedzenia. Robili to wszyscy. Kombinowanie było ważną czynnością zaopatrzeniową. Nędzne wynagrodzenie, to co wyrosło na działce, i to co zdołało skombinować, stanowiło podstawę przetrwania.

Po przyjeździe do Karatału, zatrudnieniu Mamy w oborze, co zawdzięczała Fugłowej, ważną sprawą było załatwienie działki oraz jej szybkie zagospodarowanie. Do pracy niezbędne były narzędzia. Mama zdobyła łopatę i sfatygowaną trójzębną motykę. Jeden ząb był w niej wyłamany. Motyka została naprawiona. Z łopatą w ręce, spódnicą podkasaną z przodu, założoną za pasek i chustką na głowie Mama kopała działkę obok innych podobnie ubranych kobiet. Przyglądałem się tym zajęciom. Zaopatrywałem Mamę w wodę do picia, którą przynosiłem w butelce. Aby ją bezpiecznie przynieść, butelka miała dookoła szyjki zawiązany sznurek, który przewlekałem przez dłoń i opierałem o nadgarstek.

Na działce uprawiało się głównie ziemniaki. Miały one przy oszczędnym jedzeniu starczyć na zimę, sadzenie, a część sprzedawano na targu w Pietropawłowsku. Do sadzenia wybierano specjalne okazy. Przed sadzeniem dzielono je na połówki, tak by każda część miała przynajmniej jedno oczko. Pierwsza wiosna w Karatale, to było polowanie na ziemniaki. Zimą, ziemniaki przechowywano w specjalnych piwnicach wykopanych w ziemi. Z nastaniem wiosny były

one przebierane. Przebrane, zdrowe bulwy wysypywane były na plac, żeby wyschły. Zadaniem dzieci, które przyglądały się tej pracy, było zdobyć jak najwięcej ziemniaków. Czeredę dzieciaków odganiał stróż. Była to czynność beznadziejna, bo wataha wyrostków ze wszystkich stron otaczała kopiec ziemniaków i upilnowanie ich było niemożliwe.

Jesienią 1944 r. po wykopkach, parę worków ziemniaków zawieziono na targ do Pietropawłowska. Z tej wyprawy Mama Przywiozła mi parę małych jabłek, które widziałem po raz pierwszy. Dostałem również okrągłą bułkę, na wierzchu której była kupka marmolady. Patrzyłem na te moje skarby i jedzenie odkładałem na potem. Wyjazd do miasta stanowił atrakcję i po powrocie sąsiedzi dzielili się wrażeniami. Przyszła do nas Smolakowa z dziećmi. Rodziny Fugłów, Dziedziców i Smolaków utrzymywały ze sobą ścisły kontakt. Pochwaliłem się wówczas, że dostałem takie cuda. Mama powiedziała: może poczęstujesz? Propozycji takiej nie spodziewałem się. Wziąłem nóż i trzęsącą się ręką zacząłem kroić bułkę. Krojąc pociągnąłem nożem po kciuku lewej ręki. Dzielnie dokończyła Mama. Ślad na kciuku jest do dzisiaj. Według Mamy ta blizna to było świadectwo skąpstwa.

Po jakimś czasie po przybyciu do Karatału zacząłem nagabywać Mamę i Fugła, że chciałbym mieć domek na ptaki, taki jaki mieli nasi sąsiedzi Rosjanie. Po długich namowach Fugiel sklecił budkę, która została umieszczona na poddaszu obok okienka, przy którym pracował. Po pewnym czasie okazało się, że jest on zadowolony z mojego pomysłu. Mówił, że jak zostaje sam w domu, to ćwierkające szpaki, które zagnieździły się w budce, umilają mu pracę.

Mimo licznych zesłańczych trosk i cierpień, w zachowaniu mojej Mamy był zawsze optymizm i jak u innych, wiara, że wrócimy. Stale mi powtarzała, że na pewno wrócimy do domu w Oparach. Martwiła się bardzo o los Ojca. Jaki powinienem mieć stosunek do sowieckiej władzy, wpajała mi często. O tym, co mi mówiła, zabraniała powtarzać komukolwiek. Jej reakcja na przypiętą czerwoną gwiazdę do mojej czapki, była gwałtowna i zapadła mi w pamięć. Nosiłem czapkę uszanke, którą wykonał Ojciec, jeszcze w Tuliganach, ze skórki zająca, którego złapał na wnyk. Dostałem od któregoś z rosyjskich kolegów, na początku 1945 r., czerwoną gwiazdę, którą przypiąłem z przodu do czapki. Tak udekorowany, wkroczyłem do izby. Reakcja Mamy, jak zobaczyła tak ozdobioną czapkę, była natychmiastowa. Czapka poleciała mi z głowy. Zaczęło się tłumaczenie słowne i przez tylną część ciała, że emblematów swoich wrogów, którzy narobili tyle złego rodzinie, nie nosi się. Zapamiętałem tę lekcję patriotyzmu na całe życie.

Dzieci starały się ulżyć dorosłym w ich codziennym staraniu o przetrwanie. W czasie pozaszkolnym, a szczególnie w lecie, przebywały blisko rodziców. Smolakowa ze swoją dwójką, ja obok Mamy, a potem Fuglowej, spędzaliśmy czas w oborze, pomagając w obrządki trzody. Były jednak i beztroskie chwile. Po żniwach i przymusowym zbieraniu kłosów, następował czas młocki. Czynność tę wykonywano przy pomocy młockarni, poruszanej kieratem, do którego zaprzęgano konie. Wielką atrakcją była możliwość dosiądnięcia konia i przejechania się ze stajni do młockarni lub z powrotem. Po takiej przejażdżce, na oklep, gdy konia zmuszało się do lekkiego biegu, miało się obolały tyłek. Były to wychudzone, kościste szkapki. W czasie żniw w 1945 r. zdarzył się nie-

przyjemny wypadek. Kosiarka podcięła koniowi pęcinę tylnej nogi. Konia musiano dobić. Woźnica gdzieś zniknął. Ludzie mówili, że już nie wróci.

W zimie miejscowa młodzież przygotowywała lodowisko, na którym grano w hokeja i ślizgano się na łyżwach. Łyżwy miały tylko dzieci miejscowych „notabli” i to nie wszystkie. Popularne było struganie łyżew z kawałka drewna, a do płozy przybijano cienką blaszkę. Tak skonstruowane łyżwy przywiązywano sznurkami do walonków i można było się poślizgać, jeśli ktoś udostępnił taki wyrób.

Lata niewolniczej pracy nadszarpaneły zdrowie Mamy. We wrześniu 1945 r. zachorowała i dzięki zabiegom Fugłów została umieszczona w szpitalu w Pietropawłowsku, gdzie po trzytygodniowym pobycie zmarła. Bezpośrednim powodem udania się Mamy do szpitala był obrzęk nogi. Był on spowodowany skaleczeniem, którego nabawiła się przy pracy w oborze. Według posiadanego listu, który Kazimierz Fugiel napisał do Ojca, wówczas przebywającego w łagrze, powodem śmierci Mamy był rak. Taki był werdykt lekarzy ze szpitala w Pietropawłowsku. Na tydzień przed śmiercią, Mamę odwiedziły Fugłowa i Smolakowa. Według ich relacji Mama spodziewała się, że umrze. Prosiła, aby po jej śmierci zaopiekowały się mną i zabrały mnie do Polski. Po wiadomości o śmierci Mamy, pojechałem z Fugłową do szpitala. Mamy w szpitalu nie widziałem. Pogrzeb miał zorganizować szpital. Po przenocowaniu u znajomych Fugłów, zostałem odesłany do Karatału. Codziennie do szpitala jeździła furmanka z zaopatrzeniem.

Podczas noclegu w Pietropawłowsku, w zdumienie wprowadziło mnie oświetlenie mieszkania. Pod sufitem wisiała szklana kulka i świeciła. Fugłowa i jej znajoma Rosjanka tłumaczyły mi, że jest to oświetlenie elektryczne. Przy pomocy kontaktu, demonstrowały jego działanie. Mimo wyjaśnień i praktycznej demonstracji, trudno było mi pojąć, że coś się świeci bez nafty. Fugłowa została w Pietropawłowsku, dla załatwienia formalności pogrzebowych. Jak opowiadała mi później w kostnicy zobaczyła stos nagich ciał, ułożonych bezładnie. Wyszukała ciało Mamy i kazała ułożyć osobno. Zmarłych chowano we wspólnej mogile, bez trumien i ubrania. Na taki pochówek nie wyraziła zgody. Za własne pieniądze kupiła deski, które pochodziły ze strychu szpitalnego. Zrobiono z nich trumnę. Kupiła białą gazę, z której uszyła sukienkę. Ubranie, w którym Mama poszła do szpitala, znikło. Chyba po czterech dniach Fugłowa przywiozła trumnę prosto na cmentarz w Karatale. Termin przyjazdu był znany. Czekaliśmy na cmentarzu. Pochowano Mamę na cmentarzu położonym na małym pagórku. Przyszły wszystkie polskie rodziny i znajomi Rosjanie. Nad otwartą trumną odmówiono modlitwę. Na pożegnanie pocałowałem Mamę w policzek i rękę. Była ona jedyną Polką, której przyszło spocząć na tym cmentarzu. Fugiel obstał żelazny krzyż, który postawiono na grobie. Mówił, że będzie trwały. Drewniany mogli ludzie wyrwać na spalenie. Przed wyjazdem do Polski byłem z Fugłową na grobie Mamy. Krzyż, samotny symbol religijny na tym cmentarzu, stał.

Długo przeżywałem śmierć i pogrzeb Mamy. Jej zmieniona twarz i biała sukienka śniła mi się po nocach. Po takim śnie budziłem się z płaczem. Spałem sam na piecu. Fugłowa uspokajała mnie. Mówiła, że powodem moich snów jest kot, który śpi ze mną. Po moim zaśnięciu włożył na moje piersi i tu drzemał. Zganiany włożył ponownie, gdy zasypiałem. Fugłowa mówiła, że może mnie

udusić. Po śmierci Mamy była propozycja oddania mnie do domu dziecka. Kilka dni po pogrzebie przyszedł do Fugłów przedstawiciel miejscowego sowchozu. Byłem obecny przy jego rozmowie z Fuglową. Po zdawkowym przywitaniu powiedział: „*śłuszajtie graždanka, malcziku pomierła mat', niet u niewo nika-koj siemi. Nada jemu iti w dietdom, kotoryj nachoditsja w Pietropawłowskiu*”. Fugłowa stwierdziła: „*nikuda on nie pajdiot. Ostaniot s nami*.” „*Tiepier eto uże wasze dieło*” powiedział przybyły. Rozmowa była skończona. („Słuchajcie obywatelko. Chłopcu zmarła matka. Nie ma żadnej rodziny. Trzeba, aby poszedł do domu dziecka w Pietropawłowskiu.” Fugłowa stwierdziła „nigdzie nie pójdzie, zostanie z nami.” „teraz to już wasza sprawa” powiedział przybyły). Powyższą rozmowę zapamiętałem, bo miała ona dla mnie wielkie znaczenie. Decyzja Fugłowej zaważyła na całym moim życiu. Z nią wróciłem do Polski. Zaczęłem do niej mówić mamo, bo faktycznie stała się nią.

W Karatale zacząłem chodzić do szkoły. Mieściła się ona w sąsiedniej osadzie zwanej Sorokpiatyj, odległej od Karatału około 4 km. Odległość tę pokonywaliśmy codziennie piechotą. W zimie, gdy były wielkie mrozy i śnieżyce, do szkoły nie chodziliśmy. W drodze do szkoły spotykaliśmy czasami młodych Cyganów. Wyglądało tak, jakby na nas czekali. Prosilili o coś do jedzenia. Nic nie mieliśmy. Dla pewności czy mówimy prawdę, przeszukiwali nam kieszenie. Byli od nas starsi; znosiliśmy ich zachowanie z pokorą. Szkoła była oddziałem czteroklasowym. Trzon stanowili Rosjanie i Kazachowie. Książek nie miałem. Uczono nas rosyjskiego i rachunków. Do pisania służył atrament zrobiony z sadzy. Do czytania nauczycielka rozdawała książkę z czytankami, tzw. *bukwar* (elementarz), który po skończonej lekcji zabierała. Oprócz matematyki i rosyjskiego, prowadzono naukę przyrody oraz lekcje historyczno-polityczne. Te ostatnie były na poziomie ogólnym, a naczelną myślą przewodnią był Sowiecki Sojuz i często powtarzany slogan jakiego mamy szczęście, że przyszło nam żyć w tym kraju.

W zimie w klasie było bardzo zimno. Klasa była ogrzewana przy pomocy żelaznego piecyka, stojącego w kącie. Przy piecyku leżało drewno do opalania. Na przerwie wszyscy pchali się do piecyka, aby ogrzać zziębnięte ręce. Dopchałem się kiedyś i ja. Grzejące się dzieci poszturchiwały się. Zostałem pchnięty i wpadłem na piecyk. Zajął się ubranie. Na krzyk dzieci wpadła do klasy nauczycielka, wywlokła mnie na pole i tarzając w śniegu ugasiła palące się ubranie, które zostało zniszczone. Zdarzenie to miało miejsce po śmierci Mamy. W tym samym czasie wiejące silne wiatry zasypały nasz dom. Fugiel przekopał przejście oraz odgarnął śnieg od okna. Dom wyglądał jak wielka zaspą śniegu, do wnętrza której prowadziły dwie drogi z dwóch przeciwnych stron. Jedna do wejścia, druga do okna.

Obok chodzenia do szkoły podrastające dzieci miały rozliczne obowiązki. Trzeba było w miarę sił pomagać rodzicom. Sowchoz też wymagał od dzieci pewnych obowiązków. Polegały one na plewieniu, zbieraniu kłosów i pomocy przy wykopkach ziemniaków. Za dzienną pracę dawano miskę kaszy z mlekiem. Na czas letnich prac polowych sowchoz uruchamiał dla pracowników stołówkę. Po żniwach i zebraniu kłosów dzieci wychodziły w pole, by pozbiierać te kłosy, które jeszcze zostały. Zbierać trzeba było tak, by nikt nie widział. Czynność ta była zabroniona. Wszystko było własnością państwa. Zbieranie kłosów było trak-

towane jako kradzież mienia państwowego. Ziarno zdobywano również, rozkopując nory chomików. Była to czynność żmudna. Dostanie się do „spizarni” nie było proste i przy pomocy motyki nie zawsze dawało zamierzony efekt. Pracy tej podejmowali się starsi, miejscowi chłopcy, którzy mieli wprawę w tego rodzaju poszukiwaniach. Zdobyte ziarno mielono na żarnach. Z mąki pieczono placki. Zjedzenie ciepłego placka było czymś, o czym się długo pamiętało.

Nadzieja, że kiedyś wrócimy do kraju nie opuszczała dorosłych chyba nigdy. Była ona wpajana również dzieciom. Gdzieś pod koniec 1945 r wyjazd do Polski, będący dotąd w sferze marzeń, nabrał realnych kształtów, stał się już tylko kwestią czasu, krótkiego czasu. Wiadomo już było, że na wiosnę przyszłego roku wrócimy do Polski. W Pietropawłowsku działał Zarząd Obwodowego Związku Patriotów Polskich, którego działaczką była Irena Smolak. To ona przywoziła ze spotkań najnowsze wiadomości, co do dalszego naszego losu. Z początkiem 1946 roku rozpoczęto przygotowania do wyjazdu. Załatwiano listy repatriacyjne. W czasie załatwiania dla mnie papierów zostałem wpisany pomyłkowo do akt Marii i Kazimierza Fugłów jako ich córka Rita.

Mechanizm sporządzania listy był wieloetapowy. Najniższym szczeblem było miejsce zamieszkania, gdzie była ona akceptowana przez miejscowe władze i dostarczana do Związku Patriotów Polskich (ZPP). Nie była to lista w pełnym tego słowa znaczeniu. Każda rodzina na odrębnej kartce wpisywała dane swoich członków. Odpowiedzialnym na tym etapie za prawidłowe sporządzenie kart rodzinnych był przewodniczący koła ZPP, którym w naszym przypadku była Irena Smolak. Jeździła ona, jak mi mówiła jej córka Jadwiga, po wsiach, gdzie mieszkali Polacy, zbierała ankiety i zawoziła do ZPP w Pietropawłowsku. Na tym etapie moje dane osobowe podane przez Marię Fugiel, na pewno odpowiadały prawdzie. Reprezentowałem jednoosobową rodzinę. Przypuszczam, że w wyniku bałaganu lub pośpiechu przy zestawianiu listy zbiorczej, gdzieś zapodzielano moje dane. Ilość, na jakość nikt nie zwrócił uwagi, musiała się zgadzać, więc dopisano mnie do rodziny Fugłów, jako ich córkę Ritę. Wiedziano, źródłem informacji była Smolakowa, że przy Fuglach jest dziecko, którego nie ma w ewidencji. Więc by się wszystko zgadzało, zrobiono to co zrobiono. Dlaczego Rita? Kto wymyślił takie imię, nikt nie był w stanie mi powiedzieć. Smolakowa mówiła swojej córce Jadwidze, że w sporządzaniu list repatriacyjnych w ZPP nie brała udziału. Maria Fugiel pytana wielokrotnie mówiła mi: chcieliśmy, żebyś wrócił przy nas. Rozumiałem to, że miałem wrócić jako Marian Dziedzic, pod ich opieką. Stało się inaczej. Widocznie los tak chciał.

Sprostowania po otrzymaniu dokumentów obawiano się dokonać. Czasu było mało na odkręcenie pomyłki. Mogli mnie i Fugłów zostawić celem wyrobienia nowych dokumentów i wysłać następnym transportem. Kiedy by onjechał nikt nie wiedział. Zostawać nikt nie chciał. Zdecydowano, że pojedą. Wsiadliśmy do pociągu w Pietropawłowsku, do którego odstawiono nas z Karatału furmankami. Skład pociągu z wracającymi do kraju zesłańcami zestawiono na stacji Mamlutka, położonej około 25 km na zachód od Pietropawłowska. Na stację zwożono ludzi różnymi środkami transportu. Niektórych, tak jak nas, załadowano do przygotowanych wagonów w Pietropawłowsku i doczepiono do

składu na stacji Mamlutka. Wagony były podobnie „umeblowane”, jak te, w których jechaliśmy na zsyłkę. Transport ruszył w połowie kwietnia 1946 roku.

Na zakończenie wspomnień o Karatale pragnę nadmienić o rodzącym się uczuciu, jakie dotknęło Jagódkę. Gdzieś na początku 1946 roku zakochała się. Jej wybrańcem był rosyjski chłopak, którego imienia nie pamiętam. Jej mama zabroniła jej spotykać się z chłopakami. Zakochani porozumiewali się pisząc coś do siebie na skrawkach papieru. Byłem wykorzystywany w tajemnicy przed Smolakową, jako posłaniec do wymiany wiadomości. Co do siebie pisali, nie wiem. Sprawa się urwała, bo wnet wyjechaliśmy.

Z pobytu na zesłaniu pamiętam rodziny: Bocianów, Mikuliszynów, Palczaków, Załaszczuków, Gąsiorowskich i Potępinów. Już w Polsce od Ireny Smolak dowiedziałem się, że była tam również jej koleżanka szkolna Katarzyna Zajączkowska-Sawicka. Byłem u niej kilkakrotnie w Wołowie (woj. dolnośląskie). Pierwszy raz na prośbę Ireny Smolak, a potem z własnej inicjatywy. Pamiętała moją Mamę. Zastanawiała się, co pchnęło Mamę do tak ryzykownej decyzji, jak wędrówka z Ireną Smolak na południe. Powiedziała, że ona na taką wyprawę by nie poszła.

Powrót

Droga powrotna to niekończąca się jazda pociągiem, stanie na bocznych torach, nagłe odjazdy i w popłochu ładujący się do pociągu ludzie. Nagłe ruszanie pociągu powodowało, że pasażerowie, którzy odeszli daleko, odłączali się od transportu i wiadomymi tylko sobie drogami zjawiali się na kolejnych postojach. Raz niewiele brakowało i też bym został. W ostatniej chwili wsiadłem do innego wagonu. Wiadomość, że jadę od wagonu do wagonu dotarła do Fugłów. Na postoju wróciłem do siebie. Wtedy po raz pierwszy i ostatni Fugiel „przeprzepeł” mi spodnie i zabronił na postoju daleko oddalać się od wagonu. Transport nasz przejeżdżał blisko Moskwy. Staliśmy dość długo na bocznym torze. Dorośli wybierali się do miasta na zwiedzanie. Gdzieś na trasie na jednym z licznych postojów widzieliśmy obrazek, który zdumiał wszystkich. Zobaczyliśmy dwie kobiety zaprzęgnięte do pług, za którymi szedł mężczyzna, orały pole. Był to przygnębiający obraz kraju, gdzie człowiek, jak to sobie uświadomiłem po latach, został sprowadzony do siły roboczej, w kraju w którym, jako dożywni skazańcy, spędziliśmy ponad sześć lat, i który nie wszystkim dane było opuścić. Na jednym z postojów kilku chłopców wybrało się do wsi, leżącej blisko torów. Pamiętając o zakazie Fugla nie poszedłem. Wrócili z płaczem. Okazało się, że jeden z nich trafił na minę i zginął. Pociąg jechał i jechał. Na każdym dłuższym postoju kobiety wносиły osobiste rzeczy, szły do maszynisty i prosiły o ciepłą wodę, aby zrobić pranie. Na szybko skleconym ognisku gotowały strawę. Młodzież w tym czasie zajęta była zbieraniem chrustu i własnymi sprawami. Przed wyjazdem, ze Związku Patriotów Polskich w Pietropawłowsku, Irena Smolak przywiozła paczki. Były to chyba paczki UNRRA. Rodziny wyjeżdżające otrzymywały na drogę żywność oraz środki higieny, a między nimi również szare mydło. Zawierało ono bardzo drobny proszek. Jak się potem okazało było ono skutecznym środkiem do zwalczania efektów mojego spotka-

nia z latryną.

Na jednym z postojów bawiliśmy się w gonionego. Zabawa odbywała się na łące obok torów. Uciekając przed pościgiem wbiegłem na deskę, która zaczęła się uginać. Straciłem grunt pod nogami i zacząłem spadać w dół. Złapałem się deski i wydostałem z trudem na twardy grunt łąki. Ściekająca ze mnie maź od pasa w dół, okropnie śmierdziała. Wiadomość, że omal nie utopiłem się w głównej latrynie wojskowej szybko dotarła do wagonu. Utraciłem dolną część garderoby. Pozostała w rowie, w którym długo się szorowałem pod czujnym wzrokiem współpasażerów wagonu. Po tym wypadku musiałem się myć na każdym postoju.

Przed przekroczeniem granicy, w Brześciu w dniu 17 maja, w obawie, że będą sprawdzać listę, a wracałem jako córka Fugłów Rita, zostałem przebrany za dziewczynkę. Ubrano mnie w spódniczkę Jagódki (Jadwigi), a na głowę włożono chustkę i zawiązano pod szyją. Chustka obejmowała czoło i zakrywała ostrzyżoną na zero głowę. Usiadłem z podkurczonymi nogami na górnej pryczy. Fugłowa przykazała mi, abym siedział cicho. Powiedziała, że nie powinienem zwracać na siebie uwagi. Nie pytany nie mówić. Byłem świadomy, że moment jest ważny. Kilkakrotnie uświadamiano mi powagę chwili. W przypadku odczytywania listy miałem ciekawym głosem odpowiedzieć jestem. Listy nie odczytywano, sprawdzano jedynie dokumenty. W czasie tej czynności, jak wspomniałem, siedziałem na pryczy i patrzyłem przez małe okienko na peron. Bałem się czy odkryją, że nie jestem dziewczynką. Po przekroczeniu granicy, emocje opadły, rozplakałem się. Fugłowa, jak zwykle zatroskana, spytała „czemu płaczesz Mariańciu?” Tak do mnie mówiła. Powiedziałem, że się bałem, a ona odpowiedziała, że też się bała. Po latach, kiedy spytałem, co by się stało, gdyby odkryli, że nie jestem dziewczynką i mnie zatrzymali, otrzymałem odpowiedź: zostalibyśmy z Tobą.

Docelową stacją transportu, jak się potem okazało, był Szczecin. Po drodze część powracających z zesłania wysiadała, zabierali ich zjawiający się krewni. W Poznaniu zjawił się Tadeusz Fugiel. Po trzyletniej rozłące spotkał się z rodzicami. Służył w wojsku. Poszliśmy zwiedzać miasto. Kupił mi torebkę landrynek. W Poznaniu zobaczyłem pociąg jadący po ulicy i bardzo się zdziwiłem. Tadeusz wyjaśnił mi, że jest to tramwaj. W Poznaniu staliśmy kilka dni. W tym czasie sporządzono spis osób wracających transportem do kraju. Ewidencji w dniu 19 maja 1946 r. dokonano prawdopodobnie na podstawie listy repatriacyjnej, którą miał kierownik pociągu, bo w Archiwum Akt Nowych w Warszawie, w zespole akt Zbiór Akt Repatriacyjnych Sygn. Kart Lit. F figuruje Rita Fugiel, nie ma natomiast w spisie Mariana Dziedzica. Gdyby spisu dokonano na podstawie wywiadu, to Maria Fugiel podała by moje prawdziwe dane. W świetle dokumentów i faktów do kraju zostałem przemycony i przebywam w nim „nielegalnie” przeszło 60 lat. O tym, że przemyconym przez granicę dzieckiem pod nazwiskiem Rita Fugiel byłem ja, świadczy podane w karcie miejsce zamieszkania przed zesłaniem – Rapczyce (powinno być Rabczyce) powiat Drohobycz oraz to, że Fugłowie nie mieli córki, tylko syna Tadeusza, który w tym czasie służył w wojsku. Tadeusz Fugiel swoje życie związał z wojskiem. Tu poznał przyszłą żonę Janinę Czarkowską, która służyła w I Samodzielnym Batalionie

Kobiecym im. Emilii Plater. Tadeusz przeszedł na emeryturę w stopniu pułkownika.

Do Szczecina dojechaliśmy 26 maja 1946 r. i zatrzymaliśmy się w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym. Na ogólnej sali spaliśmy pokodem przez dwie noce. Skierowano nas na osiedlenie do wsi Rzędziny, położonej na północny-zachód od Szczecina.

*

Każdy z nas ma jakieś wspomnienia z młodości, bardziej lub mniej miłe, których nie zatarł czas. Sam się sobie dziwię, że mimo upływu lat tak wiele zdarzeń zachowało się w mojej pamięci. Opisałem wszystko na ile potrafię to dzisiaj odtworzyć. Przedstawiłem fakty zapamiętane, przypomniane mi przez współuczestników. Są to pojedyncze sceny, które miały miejsce na przestrzeni wielu lat. Układają się one w ciąg, opowiadając historię mojej rodziny i znajomych na wygnaniu oraz moją po powrocie do kraju. Staralem się sumiennie przedstawić to, czego byłem świadkiem i co przeżyłem. Czy i w jakiej mierze udało mi się to urzeczywistnić, tego nie wiem. To wszystko, co się zdarzyło, a co opisałem wydaje się dziś nierealnym obrazem, który śnił mi się bardzo dawno temu. Tak wiele się zdarzyło w ciągu tak krótkiego czasu. Ktoś może się zastanawiać, co z tego, co opisałem, rzutowało na moje późniejsze dzieje. Mówi się, człowieka kształtuje młodość. Jeśli tak jest, to mnie ukształtował Sybir, Kazachstan, dom dziecka, dom młodzieżowe oraz konieczność liczenia na siebie.

Sam, bez szeregu życzliwych osób, które spotkałem na swojej drodze, i które mi bezinteresownie pomogły, nie byłbym tu, gdzie jestem i tym, kim jestem. Wracając pamięcią do tamtych lat zastanawiałem się jak potoczyłyby się moje losy, gdyby Maria i Kazimierz Fuglowie nie postąpili tak jak postąpili. Nigdy nie przestanę być im wdzięczny za ich pełen troski i miłości gest. Zaopiekowali się mną jak własnym synem. Nie wyrazili zgody na umieszczenie mnie w ruskim domu sierot. Byłem pod ich opieką w trudnych dla mnie chwilach choroby Mamy, jej odejścia i pogrzebu, który zorganizowali i sfinansowali. Rzykując, zdecydowali się przewieźć mnie w przebraniu dziewczynki przez granicę. Był to akt odwagi ludzi wielkiego serca. Reakcja Tadeusza Fugła, gdy spotkał się z nami w Poznaniu, była też znacząca, bo powiedział do mnie, że cieszy się, że będzie miał młodszego brata. Nie wiem, czy dałem im wszystkim poznać, że tak wiele od nich otrzymałem. Tego, co dali nie byłem w stanie odplacić. Myślę, że tego nie oczekiwali, bo to, co robili, czynili bezinteresownie.